

- Co? – pytam.
- A to – stuka palcem w środek strony.
- Ale ja nie... – zaczynam.
- Przeczytaj – przerywa mi chłopak.

Odstawiam filiżankę i pochylam się nad dziennikiem. Ciotka jest uzależniona od „Gazety Wileńskiej”. Zaczyna od niej każdy dzień. Rzeczywiście już same tytuły przyciągają oko. *Krew na torze wyścigowym! Tragedia ociemniałego gajowego – padł ofiarą zemsty wrogów, W szale zazdrości – dramat w ubogim mieszkaniu, Potworny czyn obłąkanej. Mąż i syn pod obuchem siekiery! Tragiczny zgon karzelka z trupy cyrkowej, Krwawa uczta weselna – siedmiu gospodarzy morduje gościa zabijakę!* Tyle wykrzykników w jednym numerze! Trudno się oprzeć, sama czytam tego szmatławca od deski do deski codziennie, gdy ciotka nasyci się już krwawymi, sensacyjnymi opisami.

Artykuł, który podsuwa mi Alek, nosi tytuł: *Naga piękność w samochodzie! Przykre skutki znajomości z brutalem.* Odstawiam filiżankę i pochylam się nad płachtą papieru.

Przedwczoraj w późnych godzinach wieczornych bawiący w naszym mieście przejazdem 22-letni Ryszard S. w cukierni Kazimierza Sztrala, zwanej Zieloną, zapoznał młodą pannę, której tożsamości policji nie udało się ustalić. Oboje bawili się ze sobą doskonale i wreszcie panienka zgodziła się, mimo bardzo już spóźnionej pory, na przejażdżkę samochodem przez śródmieście, od Zielonego Sztrala w kierunku Góry Zamkowej.

Ale podczas przejażdżki kawalerowi, który widać był w gorącej wodzie kąpany, zebrało się na czułości, przeciwko którym protestowała piękna panna.

To tak rozsierdziło donżuana, że ze złości pozdzierał z niej wszystkie szatki, które wyrzucił z samochodu na bruk ulicy św. Anny.

Na krzyk panienki kierowca taksówki obejrzał się i ku swemu zdziwieniu ujrzał we wnętrzu wozu zupełnie niemal nagą postać dziewczyny. Zatrzymał więc wóz, pozbierał porozrzucane manatki i taktownym przemówieniem usiłował pogodzić poważnionych pasażerów.

Ale zaledwie puścił w ruch samochód, gdy cała scena powtórzyła się z godną uznania dokładnością.

Tym razem jednak szofer nie mógł znaleźć niektórych części garderoby dziewczyny, która w dodatku poskarżyła się, że kawaler uderzył ją w twarz i usiłował zadusić.

Szofer sprowadził wobec tego policjanta, który aresztował pijanego Ryszarda S., a pannę polecił odwiedzić do hotelu George'a przy ul. Mickiewicza, w którym jakoby się zatrzymała.

W komisariacie wczorajszego poranka Ryszard S. tłumaczył się, że nic nie pamięta, bo był wstawiony „na pestkę”. Wobec tego, że panience właściwie nic złego się nie stało i że sytuacja nie została dostatecznie wyjaśniona, bowiem dziewczyna nie stawiała się w komisariacie celem złożenia zeznań, Ryszard S. został zwolniony z aresztu w południe.

– Przeczytałam. No i co? – pytam po doczytaniu do końca.

Alek uśmiecha się szerzej i nagle szybkim ruchem rozchyła szlafrok, odsłaniając nagą pierś, a potem znowu owija się nim ściśle. Przez sekundę czuję ukłucie zażenowania. Jego ciało jest jasne, gładkie i miękkie. Skóra ma kolor mleka. Sutki, które zobaczyłam przez moment, odcinają się od niej wyraźnie jak dwie miedziane monety. Ciała mężczyzn widywane przeze mnie przelotnie w dzieciństwie były zupełnie inne. Śniade, twarde, czasem porośnięte włosami. Ciało mojego ojca było zupełnie inne. Szorstkie i nabite niczym wypchany podróżny sakwojaż z żółtej świńskiej skóry – jeden z tych, które robił w warsztacie za domem. Ostatnio Alek zbyt często i zbyt swobodnie eksponuje przy mnie swoje ciało, zwróciłam na to uwagę. Dziś nie nosi pod kimonem pidżamy, mam nadzieję, że przynajmniej założył kalesony.

– Nie rozumiem – szepczę, odwracając wzrok.

– Ach! – wykrzykuje Alek głosem Dory, mruga kilka razy komicznie. – Co pan... Co mi pan robi?!

– Nie wiem, o co ci... – zaczynam, ale milknę, bo nagle dociera do mnie, o czym mówi. – To... To ty byłeś? Ta panienska?

– Zgadza się – Alek rozsiada się wygodnie na krześle, znowu zakłada nogę na nogę i starannie okrywa nagie kolano połą jedwabnego szlafroka.

– Ale jak... Po co? – próbuję wyjąkać. – Wiesz, co by było, gdyby się zorientowali? Ciotka chybaby umarła!

Alek pogardliwie wydyma usta, zaciąga się papierosem i wypuszcza chmurę dymu.

— Umarła! — prycha. — Jest zdrowa jak koń i silna jak byk. Nie dolega jej nic, na co nie zaradziłaby długa, energiczna wizyta doktora Barańskiego spod ósemki. Na dobrą sprawę jedyne, co jej doskwiera, to częstszy brak tych wizyt, jakbyś się jeszcze nie zorientowała, moja droga.

Spoglądam znowu na artykuł i nagle uśmiecham się wbrew swojej woli. Próbuję zapanować nad wesołością, ale nie udaje mi się i zaczynam głośno chichotać. Alek śmieje się razem ze mną.

— Najgorsze, że szlag trafił kołnierza matki, taki miódowy, z tafty. Trzęsa się nad nim jak nad złotem, chociaż ostatni raz założyła go chyba z rok temu. Pończochy przepadły. Małe piwo, nawet się nie zorientuje. Ale z kołnierzem gorsza sprawa. Sam nie wiem, co mnie podkusiło, że go zabrałem.

— I co zrobisz? — pytam.

— Zrzucę na Cześć, zawsze się tym kołnierzem zachwycała.

— Ale to nieładnie tak — próbuję odezwać się z dezaprobata, jednak mi się nie udaje i chichoczę znowu.

— Nieładnie — kiwa głową Alek i śmieje się ze mną.

— O, matko — wzdycham wreszcie, gdy udaje mi się nad sobą zapanować. — I byłeś w Zielonym Sztralu?

Zielona cukiernia Sztrala zaliczana jest do najelegantszych i najbardziej znamienitych lokali Wilna.

— Yhm — kiwa głową Alek, przyglądając mi się roziskrzonym wzrokiem.

— Z tym mężczyzną? A on...

— Nie, nie wiedział. On nie z tych.

— To nierozsądne — wzdycham. — Pomijając wszystko inne, wiesz, co mogłoby się stać, gdyby... gdyby się zorientował?

Alek wzrusza ramionami.

— Michał na początku... Też nie wiedział. A kiedy się dowiedział, okazało się, że właśnie na mnie czekał.

Spoglądam na niego bezradnie. Nie chcę wyjść na padalca i przypomnieć mu, jak wyglądał finał sprawy z Michałem, a zresztą nie w tym rzecz. Nie martwię się tym mężczyzną, ale Alkiem. Tym, co mogłoby mu się stać. Dosyć się nasłuchałam przez ostatnie tygodnie różnych mrozących krew w żyłach historii o tym, co niekiedy spotyka niezbyt rozważne „lale”. Alek staje się nierozważny. Wypijam kakao i sięgam znowu po dzbanek.

– A w tym Sztralu... – odzywam się po chwili. – Jak tam jest?

– O, moja droga, tam... – Alek zamyśla się na chwilę z rozmarzonym wyrazem twarzy i ciągnie: – ...cudownie. Po prostu cudownie. Jeśli chcesz, pójde z tobą. Dał mi parę złotych.

– Ten mężczyzna? – Alek potakuje.

Zastanawiam się przez chwilę, ale tylko dla fasonu, bo odpowiedź jest oczywista.

– Chcę – mówię. – Ale z tobą czy z Dorą?

– Z Dorą – oznajmia krótko Alek.

Wzdycham. Nie dlatego, że nie lubię jego towarzystwa, gdy się nią staje. Boję się o niego po prostu.

– Dobrze. Kiedy?

– Dziś wieczorem?

– A Frania pójdzie z nami?

– Nie. Ma duże zlecenie z Pohulanki, ślęczy po nocach nad maszyną. Pięknie jej wychodzi, zobaczysz.

Oczywiście, że zobaczę. Alek przeistacza się w Dorę u Frani. Jeżeli chce wybrać się ze mną do Sztrala w przebraniu, tak czy siak wieczór rozpocznie się u niej.

– Dobrze. Ale mógłbyś się już ubrać. I w ogóle mam nadzieję, że masz na sobie przynajmniej kalessy pod spodem – mówię cierpkim tonem.

Alek przewraca oczami.

– Boże, jaka ty jesteś marudna. A jak myślisz? Mam czy nie mam?

– Nic nie myślę. Czytasz to jeszcze? – wskazuję gazetę.

– Nie da się nic nie myśleć – przekomarza się ze mną Alek, nagle wstaje i pyta: – Chcesz się przekonać?

Po czym rozchyła kimono błyskawicznym szarpnięciem. Wyrwa mi się mimowolny, krótki wrzask i odruchowo zaciskam powieki, choć już i tak zdążyłam się przekonać, że jednak ma na sobie krótkie kalessy.

– Idiota! – wykrzykuję.

Alek śmieje się do rozpuku, bierze ostatnią diablotkę z talerza i rusza do wyjścia. W progu odwraca się do mnie i mówi:

– Zatem o szóstej u Frani. A gazety już nie czytam, weź. Żegnam...

– ...ozieble – kończę za niego.

Znika w korytarzu. Dopijam kakao, zabieram gazetę, przenoszę na jeden z obszernych foteli stojących pod oknami i zwijam się w kłębek.

Z wypiekami na twarzy wczytuję się w makabryczne doniesienia, świat wokół przestaje istnieć.

•

Przed szóstą zaczynam się szykować. Siadam przed lustrem toaletki i rozczesuję włosy. Od pewnego czasu zastanawiam się na ich obcięciem — teraz, gdy je rozpuszczę, spadają mi miękką falą aż do siedzenia. Jeden kłopot. Podoba mi się fryzura Alka, a właściwie Dory, chociaż on ma włosy proste jak drut, moje by się tak nie układały. Ale gdybym sprawiła sobie lokówkę, mogłabym robić fale, teraz jest szal na fale.

Która sukienka? Po namyśle wybieram fiołkową, lubię ją najbardziej, bo ciemne wstawki w dopasowanej talii i nieco rozkloszowany dół skutecznie maskują moją figurę, z której nie jestem dumna. Uważam, że wyglądam, jak to mawiała Królowa, niczym baba śląska — w ramionach szeroka, w dupie wąska. Bujna figura Frani znacznie bardziej trafia w mój gust. Nie uświadamiam sobie jeszcze, że moja budowa pasuje idealnie do tej epoki — właśnie takie chłopięce sylwetki są teraz w modzie.

Ciotka jest już gotowa na swoją medyczną wizytę — w korytarzu unosi się ciężkawa woń jej pizmowych perfum, gra radio w sypialni. Na razie dają jeszcze jakiś koncert symfoniczny, muzyka taneczna zaczyna się dopiero o szóstej. Ciotka wszystko zaplanowała, jest niezwykle dokładna. Ale ja zastanowiłabym się nad tym radiem — osoba cierpiąca na migrenę raczej by go nie włączyła. Tyle tylko, że jej migrena to parawan dla domowników, a nie dla doktora Barańskiego. Doktor Barański świetnie wie, w jakim celu jest przyzywany i jakiego rodzaju terapię ma zastosować. Za każdym razem już od drzwi pędzi prosto do sypialni ciotki, często zostawiając nawet swoją lekarską torbę na stoliku przy drzwiach razem z kapeluszem. Alka niepomiernie to bawi, ja ciotkę rozumiem i choć wiem, że powinnam się gorszyć, nie umiem. Uważam, że doktor Barański ma w sobie coś magnetycznego, podobają mi się jego roześmiane oczy, kozia bródka i krzepkie dłonie. Wyobrażam sobie niekiedy, jak wygląda reszta jego ciała, a te myśli wywołują ciepło i mrowienie na mojej skórze. Zwracam coraz większą uwagę na chłopców, przyciągają moje spojrzenia w całości i we fragmentach — delikatny płatek ucha, zarys męskiego

podbródka, ust, kształt palców, nadgarstka budzą we mnie niespodziewaną tkliwość i oczekiwanie. Śnią mi się coraz częściej, niekiedy budzę się z tych snów drżąca i głodna. Nie podoba mi się jeszcze żaden konkretny chłopiec, szczęśliwie w żadnym się nie zakochałam. Podobają mi się wielu, w każdym prawie umiem dostrzec jakiś jeden choćby atrakcyjny rys. Ponieważ przestaję głównie w towarzystwie lal, mogę przyglądać się im bezkarnie — większość jest dość próżna i cieśszy ich moja uwaga. Wielu jest przystojnych, a nawet ci nieładni dbają o siebie i potrafią się prezentować. Mogę ich także dotykać, obejmować czy całować w policzki, niczym mi to nie grozi. Na razie mnie to zaspokaja.

Zapinam fioletową sukienkę, zakładam pantofle. Biorę rękawiczki i torebkę i wychodzę z pokoju. Po drodze zaglądam do kuchni.

— Czesiu, gdyby ciotka pytała o mnie, poszłam do kina z Alkiem — mówię.

Czesia nieuważnie kiwa głową, pogrążona w emocjonującej rozmowie z Zającową. Dziś tematem dnia są nieszczęścia miejskie — redukcja zatrudnienia w Arbonie, który już w tym roku wycofał z Wilna pięć autobusów i zwolnił dwunastu ludzi, co to będzie? Ojciec Czesi pracuje w zajezdni, zrozumiałe więc, że dziewczyna się przejmuje. Zającowa natomiast ekscytuje się nowym klinkierem położonym na Zamkowej. Jak można zrobić żółtą ulicę? Tego jeszcze nigdy nie było!

Przystaję przed lustrem nad stolikiem w korytarzu i zakładam kapelusz. W tej chwili rozlega się energiczne pukanie do drzwi.

— Otworzę! — wołam w stronę kuchni.

— O, panna Ina! — tubalnym głosem wita mnie doktor Barański. — Doniesiono mi, że pani Paczkowska znowu zaniemogła, przybyłem najszybciej, jak było to możliwe.

— Ciotka czeka na pana u siebie — uśmiecham się do niego grzecznie, skromnie spuszczaając wzrok. — Doczekać się już pana nie mogła.

Rzeczywiście doktor się spieszył, nie dopiął nawet kołnierzyka. Rzuca kapelusz i torbę na konsolę, przestępuje z nogi na nogę.

— No, tak — bąka. — Te migreny... Bardzo mnie niepokoją. Pójdę zatem do pacjentki.

Kłania się i rusza w stronę sypialni ciotki.

— Panie doktorze — wołam za nim słodkim tonem. — O torbie pan zdaje się zapomniał.

Zawraca zarumieniony. Niepotrzebnie jestem złośliwa, lubię go przecież.

U Frani jestem siedem po szóstej. Alek już częściowo przedziergnięty w Dorę — w jedwabnych pończochach i czarnej kombinezce pod rozpiętym szlafrocikiem. Nakłada makijaż, siedząc na taborecie przed lustrem obok łóżka, Frania układa mu włosy.

— Moja droga! — woła. — Jesteś spóźniona!

Frانيا całuje mnie na powitanie. Dziś nieformalnie — ubrana w białe spodnie i włóczkowy, czarny pulower. Włosy jak zwykle ma związane w niedbały kok, z którego wystaje grzebień.

— Pokaż no się — żąda Dora, odwracając się w moją stronę. — Oczywiście znowu fioletowa! Przecież masz chyba z osiem dobrych toalet, dlaczego bez przerwy w tej samej wychodzisz wieczorami? I dlaczego ty założyłaś te wstrętne fildekosowe pończochy? Przecież dostałaś jedwabne ode mnie!

Jedno oko ma już otoczone szarym cieniem, drugie, nagie, wydaje się mniejsze. Lewa strona twarzy to Alek, prawa — Dora. Niepokojące wrażenie.

— Lubię ją — mówię. — A pończoch mi szkoda...

— Ale ta sukienka cię zasłania, moja droga — Dora odwraca się do lustra i zaczyna nakładać makijaż na drugą powiekę.

Odchyła się i mruga, oceniając efekt. Odkręca szminkę i obrysuje usta w serduszko, które osusza po chwili chusteczką.

— Wiesz, w czym sedno? — pyta. — Na czym polega to, że kobieta staje się wyjątkowa?

— Nie wiem.

— Nie na tym, że kryje swoje wady, to niezbędne tylko w przypadku defektów. Sukces leży w tym, aby z wad uczynić zaletę. Jeżeli więc masz wąskie biodra, pokaż to, a nie ukrywaj. Zresztą masz znakomitą figurę, nie rozumiem, dlaczego boisz się ją pokazać. To, co masz, figura, to połowa twojego arsenału.

— A co jest drugą połową? — pytam.

— Twoja głowa, kochanie — Dora uśmiecha się. — A raczej to, co się w niej kryje. Franiu, musimy ją przebrać.

— Ale ja nie chcę — protestuję słabo.

Protesty oczywiście na nic się nie zdają — po dziesięciu minutach mam na sobie inną sukienkę. Pistacjową w czarne grochy, bez ramion, za to z obniżoną talią.

— Wyglądam jak ćwiek — stwierdzam ponuro, spoglądając w lustro.

— Wyglądasz oryginalnie i zachwycająco, kochanie!

Dora staje za mną i opiera mi podbródek na ramieniu.

— Coś tylko trzeba by zrobić z tymi włosami...

— Myślałam o tym, żeby je ściąć...

— Znakomity pomysł! — podchwytuje Frania.

— Doskonale! Franiu, daj nożyczki! — sekunduje Dora.

— Ale nie teraz!

— A kiedy? No, sama powiedz, kiedy, jak nie teraz?

Oszołomiona pozwalam się posadzić na taborecie, tyłem do lustra. Franka wyciąga wsuwki z moich włosów, szczeka energicznie nożyczkami, miodowe pasma jedno za drugim spływają na podłogę. Zaciskam powieki, żeby się nie rozpląkać. One robią ze mną, co chcą, dlaczego ja się poddaję?

— Dora, nagrzej lokówkę — komenderuje Frania, kucając przede mną i przeczesując mi włosy, wpatrzona we mnie z uwagą. — I podaj mi Czarną Główkę, butelka jest chyba na kredensie.

Po chwili w powietrzu rozchodzi się delikatny swąd przypiekanych kosmyków. Frania co chwilę przechyla butelkę i zwilżoną szmatką nakłada mi utrwalacz na głowę.

— Chciałam mieć z nimi mniej roboty — mówię ponuro. — Jeżeli codziennie będę musiała tyle czasu poświęcać na fryzurę, na nic innego dnia mi nie starczy.

— Zajmiesz się nimi raz na kilka dni, po myciu — zapewnia Frania.

— Zresztą nie będziesz chodziła w falach do szkoły. Same z siebie też się dobrze układają. No, gotowe. Możesz się obejrzeć.

— Jeszcze nie! — Dora przyskakuje do mnie ze swoimi mazidłami.
— Poczekaj.

Chłodnymi, delikatnymi dotknięciami nakłada cienie, potem szminkuje mi usta. Czuję się trochę nieswojo, chociaż okazuje się to dosyć przyjemne. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy ktoś kiedyś wcześniej dotykał mojej twarzy.

— Możesz się obejrzeć, kochanie — Dora zamyka szminkę i wpatruje się we mnie krytycznym okiem.

Odwracam się do lustra i wstaję z taboretu. Czy to naprawdę ja? Z tafli przygląda mi się młoda kobieta. Ma smukłą sylwetkę, długą białą szyję. Podmalowane cieniami oczy wydają się jeszcze większe niż w rzeczywistości, a krótkie, połyskliwe fale włosów podkreślają ował twarzy i wysokie kości policzkowe. Nie wiem, czy powiedziałabym o tej dziewczynie, że jest piękna. Ale zapewne przyglądałabym się jej długo, a na ulicy być może nawet bym się za nią odwróciła. Przypominają mi się słowa Alka na temat Bette Davis — „choć nie jest piękna, nie można się na nią nie gapić”.

— Zadowolona? — pyta Frania.

Dora staje obok mnie, spogląda na nasze odbicia.

— Nie jestem pewna, czy był to dobry pomysł — rzuca żartobliwie kwaśnym tonem. — Sama sobie stworzyłam konkurencję. Chodźmy.

— Na pewno nie wybierzesz się z nami, Franiu? — pytam.

— Nie mogę, kochanie — Franka kręci głową. — Obiecałam do poniedziałku skończyć dwa główne kostiumy do „Dziękuj pszczoły” Morstina, Teatr na Pohulance ma pierwszą próbę przy widowni już w środę. Niby proste rzeczy, ale roboty mam co niemiara.

— Przecież oni tam mają swoich krawców — mówi Dora, okręcając szyję długim, zwiewnym szalem z malowanego jedwabiu i przerzucając jego końce na plecy.

— Obsada jest duża. A poza tym chcą coś specjalnego — wyjaśnia Frania. — I dobrze płacą.

— Skoro płacą, to już coś — Dora całuje powietrze przy policzkach Frani i kiwa na mnie. — No, moja droga, czas na nas!

•

Cukierni Kazimierza Sztrala było wówczas w Wilnie kilka, człowiek ten był prawdziwym cukierniczym potentatem. Najbardziej znane były te przy Mickiewicza i przy Zamkowej — ta ostatnia słynęła z pączków. My wybieramy się do najbardziej wytwornej, czyli Zielonej. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale jestem nią nieco rozczarowana. Wnętrze robi wrażenie, ale odrobinę trąci myszką. Miękkie zielone chodniki wyściełające podłogi, ogromna palma ustawiona centralnie, potężne żyrandole z kryształowymi sopłami, zbyt jasno, moim zdaniem, oświetlające wielką przestrzeń sali i fazowane lustra — wszystko to kojarzy mi się z minioną epoką. Liczyłam na

coś bardziej elektryzująco nowoczesnego, a z pewnością bardziej intymnego. Za to Dora jest w siódmym niebie. Z gracją kołysząc biodrami, śmiało maszeruje przejściem między stolikami, nie zważając na zaciekawione spojrzenia gości, które mnie peszą. Chyba jesteśmy najmłodszymi kobietami w całym tym lokalu. Siadamy na obitych zielonym pluszem krzeselkach przy okrągłym szklanym blacie.

— Patrz, ilu pali cygara i papierosy — rzuca szeptem podekscytowana Dora. — A czujesz dym? Nie! Tu są wentylatory!

Godnie wyglądający, szpakowaty kelner z wąsikami wyrasta przy naszym stoliku niemal natychmiast. Dyskretnie pyta, co sobie życzymy. Przygląda nam się z namysłem, zapewne zastanawiając się, ile mamy lat. Dora na pewno nie budzi jego podejrzeń, ale ja chyba tak. Gdyby się zorientował, że dopiero skończyłam czternaście, miałabym spore kłopoty. Panienki w moim wieku nie odwiedzają w Wilnie lokali bez opieki dorosłych. Unoszę nieco podbródek, wydynam lekko usta.

— Tort hiszpański — mówię śmiało.

— Dwa razy — dołącza się Dora. — I dwie kawy. A do tego krem.

— Jeden? — pyta kelner.

— Niech już będą dwa — łaskawie mówi Dora.

— Na pewno masz pieniądze? — pytam szeptem, gdy kelner się oddala.

Gdyby się okazało, że nie starczy nam na zapłacenie rachunku, przy tych wszystkich ludziach chyba zapadłabym się ze wstydu pod ziemię. Nie mówiąc już o tym, że afera wtedy byłaby murowana.

— Oczywiście, kochanie — odszeptuje Dora, wyjmując z torebki firkę i wkręcając w nią papierosa. — Mówiłam ci, że dostałam od niego.

— Chyba nie powinnaś tu palić — szepczę, rozglądając się ukradkiem. — Żadna kobieta nie pali.

— Zatem trzeba to zmienić — Dora przypala koniec papierosa, zaciąga się dymem i wydmuchuje go nad naszymi głowami, unosząc podbródek.

— A ile masz? — szepczę.

— Moja droga, przestań szeptać jak złodziej w kościele. Wystarczy.

— No, ale ile ci dał? — pytam.

— Och — Dora robi ręką jakiś nieokreślony ruch. — Trochę dał. Trzydzieści.

— Dał ci trzydzieści złotych?! — wykrzykuję, a kilka najbliższych siedzących osób ogląda się natychmiast w naszym kierunku.

— Inka! — syczy Dora. — Chyba jednak wolałam, kiedy szeptałaś.
— Ale jak to ci dał trzydzieści złotych? Sam ci dał?
— Powiedzmy, że się nimi zaopiekowałam. Należało mi się za to, jak mnie potraktował. A potraktował mnie jak kurwę.

— No, wiesz... — mamrocę zszokowana zarówno samym określeniem, sumą, jak i faktem, że Dora okradła tego mężczyznę.

Kelner po krótkiej chwili stawia przed nami talerzyki z tortem, a przy nich kawy w szklankach i krem w pucharkach na wysokich nóżkach. Dora gasi w popielniczce na wpół wypalonego papierosa i sięga po łyżeczkę, rzucając zalotne spojrzenie w stronę kogoś siedzącego za mną. Spoglądam przez ramię. Dwa stoliki dalej nad winem siedzi trzech młodych oficerów, śmieją się do mnie bezceremonialnie. Wytrzeszczam oczy i odwracam się do nich plecami.

— Narobisz nam kłopotów — mówię błagalnie. — Jedz.

— Jem.

— Nie patrz na nich, proszę. Przyszliśmy przecież, jak chciałaś. Nie wystarczy ci?

— Nie.

— Nie mam do ciebie siły — wzdycham i próbuję kremu. — Pyszne.

— Tego się tak nie je. Musisz wrzucić do kawy — wyjaśnia Dora.

Zjadam tort, wypijam kawę z kremem i szczerze mówiąc, zaczynam się nieco nudzić. Obserwuję gości — panią w popielatym futerku i identycznym toczkiem na głowie siedzącą blisko palmy w towarzystwie nobliwego pana błyskającego brylantową spinką w krawacie. Starszym paniom przy stoliku nieopodal — jedna ubrana w bogate futro, a druga w granatowy płaszcz z błękitnym lisem. Dwóm młodym mężczyznom towarzyszącym eleganckiej pani w beżowym żakiecie. Marszczę brwi, chyba ich znam. Zerkają na mnie obojętnie. To lale! Widziałam ich w Artystycznej, zresztą nie tylko tam. Ten niższy z sobolowymi brwiami nazywa się Zygmunt Rydlowski, bez przerwy wdaje się w jakieś bijatyki. Nie dalej niż tydzień temu wywołał bójkę na dancingu przy Tatarskiej, solidnie oberwał w głowę krzesłem, ale nawet to go nie ostudziło.

— Widziałaś? — pytam Dorę, kiwając głową w ich stronę. — Lale są.

Dora ogląda się na nich i twarz jej pochmurnieje. Nie spodziewała się takiego towarzystwa w Sztralu. Wzrusza ramionami i wyraźnie traci humor. Odkłada łyżeczkę, kelner natychmiast zjawia się przy stoliku.

– Płacić – mówi Dora.

Odbieramy płaszcze i wychodzimy na ulicę. Wieczór jest pogodny, choć wcześniej zanosiło się na deszcz.

– I co... – zaczynam, ale z cukierni wybiegają za nami oficerowie.

– Czy panie pozwolą, że odprowadzimy? Pora późna – jeden z nich szarmancko kłania się w pas.

– Ale kiedy my panów nie znamy... – Dora wdzięcznie przechyła główkę i trzepocze zalotnie rzęsami.

Łypię na nią okiem i znacząco unoszę brwi. Czy ona zwariowała?

Panowie przedstawiają się jeden po drugim, strzelając obcasami. Zapamiętuję imiona: Henryk, Feliks i Alwin. Są z pułku ułanów, stacjonują w koszarach między Derewnicką, Pióromonta i Świętej Teresy, tuż nad brzegiem Wilenki

– A gdzie panie mieszkają? – pytają.

Jestem tak zdenerwowana tą sytuacją, że o mało nie podaję adresu ciotki, na szczęście jednak Dora wpada mi w słowo:

– Na Gdańskiej. Doprawdy to tylko pięć kroków...

Ruszamy. Dora rozmawia swobodnie z oficerami, przyjmuje bez oporów ofiarowane jej ramię. Drugi z oficerów ujmuje ją pod drugą rękę. Upadła na głowę! Jestem przerażona. Trzeci przysuwa się do mnie, podaje ramię. Kręcę głową, wykluczone.

Jednak po kilku krokach się rozluźniam. Chłopcy są przemili, wieczór taki ciepły. Księżyc odbija się w nielicznych kałużach. Cóż właściwie może się stać? Wsuwam rękę pod ramię oficera.

– To doprawdy niezwykle imię – Alwin. Nigdy o takim nie słyszałam – stwierdzam i spoglądam mu prosto w oczy.

Myli krok i odpowiada cielecym uśmiechem. Wydaje mi się, że panuję nad sytuacją. Rozpiera mnie duma i złudne poczucie władzy, a pełne uwielbienia spojrzenia Alwina coraz mocniej mnie w nich utwierdzają. Ma piękne, idealnie wykrojone usta, takie miękkie i delikatne. Pachnie papierosami i winem. Delikatnie ściskam jego ramię, przyciąga w odpowiedzi moją rękę do swojego boku, a ja, nieoczekiwanie dla samej siebie, wybucham śmiechem.

•

Późnym wieczorem, już zmyta, rozczesana, wyswobodzona z piastacyjnych jedwabów, stoję w oknie i rozmarzonym wzrokiem

wpatruję się w oświetlony księżycowym blaskiem cmentarz. Alwin był taki szarmancki, na pożegnanie pocałował czubki moich palców. Opieram głowę o framugę okna i spoglądam w niebo. Jak to życie się układa...

Słyszę za plecami szcęk klamki.

– Myślałam, że już śpisz – mówię, nawet nie spoglądając za siebie.

– Nie śpię – Alek staje tuż za mną. – Kiedy byłem mały, matka często mnie tam zabierała.

– Na cmentarz? – pytam zdziwiona.

– Tak. Niekiedy urządzaliśmy sobie pikniki. Mówiła, że w całym Wilnie nie ma takich bratków jak tam.

– A gdzie leży właściwie twój ojciec? – pytam.

– Ojciec? – dziwi się Alek. – Jaki ojciec?

– No, Paczkowski. Mąż twojej matki.

– Naprawdę myślisz, że miała męża? – pyta rozbawionym tonem Alek.

– Jak mogła nie mieć?

– Normalnie.

– No, ale przecież nazywa się Paczkowska...

– A ty Kamińska, co? Przyjechała tu w przededniu wojny, wtedy łatwo było zachachnąć w takich sprawach.

– Przecież musiałeś mieć jakiegoś ojca!

– O, miałem zapewne. Ale matka o nim nigdy nie mówiła.

– No, a te kamienice? Majątek? – pytam.

– Kto ją tam wie – wzdycha Alek. – Ma talent do interesów. Nie wiem zresztą, nie zwierzała mi się.

Siadam na łóżku i przyglądam się Alkowi. W żółtym świetle nocnej lampki wydaje się taki młody i drobny.

– Dlaczego jesteś smutny? – pytam. – Przecież wszystko było, jak chciałeś.

– Jak chciałem? – Alek spogląda na mnie, marszcząc brwi. – Moja droga, nigdy nie będzie tak, jak bym chciał. Masz chyba na tyle rozumu, żeby móc to zrozumieć.

– Ale... – zająkuję się. – Ale przecież byliśmy w Sztralu. Poznaliśmy tych oficerów. Widziałeś, jak na ciebie patrzyli? To znaczy na Dorę...

– No właśnie.

– Umówiliśmy się przecież z nimi. Za dwa dni. Będzie miło.

– Będzie miło. Do pewnego momentu. Jak zawsze – Alek opada ciężko na moje łóżko.

Wbija wzrok w ścianę i nagle szlocha krótko, chowając twarz w dłoniach.

– Aluś! – wykrzykuję niemal, przypadając do niego natychmiast.

– No, co ty? Aluś? Co się dzieje?

– Gdybyś ty mogła wiedzieć... Gdybyś wiedziała – mamrocze chłopak.

– Ale co? Co gdybym wiedziała?

– Ja jestem Dorą, rozumiesz? Jestem Dorą cały czas, nawet wtedy, gdy wyglądam jak Alek, gdy noszę jego ubrania. Gdy mówię i zachowuję się jak on! To tylko taka gra. Takie udawanie. Bo to nie Alek udaje Dorę, ale Dora Alka. Ja nigdy nie przestaję być Dorą. I zawsze, zawsze nią byłam! A teraz to się staje coraz trudniejsze, ta gra. Z każdym dniem.

– Ale dlaczego? Aluś? Dlaczego? – pytam, obejmując jego głowę i przytulając mocno do piersi.

– Dlatego, że nie mogę być Dorą naprawdę.

– No, ale przecież... – mówię, odsuwając się od niego i próbując zajrzeć w oczy – ...przecież skoro jesteś Dorą, to jesteś. Skoro mówisz, że nie przestajesz nią być nigdy, no to nią jesteś!

– Tak. Ale wiesz o tym tylko ty.

– I Frania. I Icek wie.

– Nie, ty jesteś jedyną prawdziwą osobą, która wie. Ani Franka, ani Icek nie żyją w prawdziwym świecie. A Dora chce żyć normalnie, jak każda dziewczyna. Potrafisz to pojąć? Boże, żebyś ty wiedziała, jak ja ci zazdrozczę...

– Ty mnie zazdrościsz? Czego ty mnie zazdrościsz? – pytam bezradnie. – Przecież ja... Ja nic nie mam.

– Zazdrozczę ci tego, kim jesteś. Zazdrozczę ci, że jesteś kobietą.

– Kobieta? – powtarzam jak echo.

Serce mi się kraje, ale nie wiem, jak mam mu pomóc. Mogę mówić, że będzie dobrze, ale przecież nie będzie. Pewnych rzeczy nie da się zmienić, choć można udawać, że są inne. Udawanie nie jest takie złe, potrafi być nawet zabawne. Jedyną jego wadą jest to, że nie jest prawdą.

Obejmuję mocno Alka i kołyszę go lekko w ramionach. Szlocha jeszcze przez jakiś czas, a potem się uspokaja. Głaszczę jego ramiona,

odsłonięte w rozcięciu kimona kolana, dłonie — jakbym mogła wygłaskać cały ból. Nie wiem, ile czasu tak siedzimy. Dziesięć minut? Godzinę? To bez znaczenia. W końcu Alek wzdycha cicho i odchyła się, spoglądając mi w oczy.

— Czy zrobiłabyś coś dla mnie, gdybym cię o to poprosił? — pyta.

— Wszystko — mówię.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Jest coś, o co chciałbym cię prosić, ale...

— Proś — uśmiecham się.

— Czy mogłabyś... — Alek spogląda w dół, skubie pasek kimona.

— Czy mogłabyś mi pokazać?

— Co mam ci pokazać?

— Siebie. Czy mogłabyś mi pokazać siebie. Jak wyglądasz... Wiesz...

Wiem. Wciągam powietrze i czuję gorąco na twarzy, ale w jakiś sposób rozumiem, dlaczego mnie o to prosi. Zaskakuje mnie najbardziej moja reakcja — nie czuję żadnego oporu, a przecież powinnam. Zastanawiam się przez chwilę.

— Teraz? — pytam wreszcie.

Kiwa głową. Odsuwam się od niego.

— Na pewno? — upewniam się.

Kiwa znowu. Klękam na łóżku i zdejmuję koszulę nocną przez głowę. Teraz to prostsze, gdy mam krótkie włosy. Przyciskam zmięty materiał do piersi. Sięga i delikatnie opuszcza moje ręce. Wpatruje się we mnie z uwagą, ogląda całe moje ciało, każdy milimetr. Zagrzyzam lekko wargi.

— Mogę? — pyta, wyciągając rękę.

— Yhm — odmrukuje, przetykając ślinę.

Przesuwa palce po moim udzie, dotyka brzucha, piersi. Jego dotyk jest suchy i chłodny. Jakby głąskało mnie pióro. Przeszywa mnie dreszcz, choć doznanie nie jest nieprzyjemne. Opuszcza rękę niżej, między uda. Naciska lekko, rozsuwam je powoli. Pochyla się i przygląda z bliska, czuję jego oddech, muska mnie palcami, bada. Odsuwa się wreszcie i odchyła połę kimona. Pod spodem jest zupełnie nagi. Blade, miękkie ciało. Bez ani jednej skazy, bez najmniejszego pieprzyka, prawie bez włosów, które rosną mu tylko ciemną kępką pod pępkiem. Nad czymś, co w pierwszej chwili omijam wzrokiem. Rozchyła uda.

- Też możesz dotknąć, jeśli chcesz – mówi.
Tyle tylko, że nie chcę. Kręcę głową. Nie muszę go dotykać. Nie jego.
- Ale widzisz? – pyta cicho.
- Widzę.
- Taki jest. Powinien być sztywny przy kobiecie. Większy. Ale nie jest. Nigdy nie będzie.
- Wiem – mówię i zakładam koszulę.
- Jest zupełnie zbyteczny. Niepotrzebny. Gdyby mi go odcięli, nie odczułbym różnicy. Może nawet byłoby lepiej.
- Alek zasłania się kimonem, siada na łóżku i zawiązuje pasek.
- Dziękuję, Ina – mówi cicho.
- Czy teraz... Lepiej ci teraz? Różnica przecież nie jest taka...
- urywam bezradnie i kończę kulawo: – ...taka duża.
- Duża nie – stwierdza Alek. – A jednak zasadnicza. Myślę, że chyba mi lepiej. Śpij już.
- Wstaje, przeciąga się. Nieruchomieje na chwilę i nagle rzuca mi figlarne spojrzenie.
- Ale było przyjemnie? – pyta i dodaje pospiesznie: – Mam na myśli Sztrala! I oficerów.
- Było – uśmiecham się do niego. – Dobrej nocy, Dora.
- Żegnam oziębłe – Alek robi piruet, kłania się, wymachując wyimaginowanym kapeluszem i znika w drzwiach swojego pokoju.

XXIV

Co powinnam założyć? Coś czarnego, ale sukienka się nie nadaje. Miałam ją zanieść do pralni i zapomniałam. Zresztą czy mogłabym iść na pogrzeb w mini? Miotam się zupełnie nieprzytomna po mieszkaniu. Spałam cztery godziny, mam wrażenie, jakby czaszkę ktoś wypełnił mi metalem. Ile jest stopni na dworze? Otwieram drzwi na taras i nawet nie muszę sprawdzać termometru. Sto stopni jak nic albo więcej – upał totalny. Pospiesznie zasuwam drzwi. Nie założę wełnianej sukienki, chyba bym w niej umarła.

Podchodzę do szafy i zapalam światło nad wieszakami. Żakiet odpada. Mam czarny sweter, niby nie jest bardzo gruby, ale też odpada. Boże, nie mam nic odpowiedniego! Przesuwam wieszaki, czas ucieka. W końcu decyduję się na czarne, lejące spodnie i czarny T-shirt. Jest dopasowany, właściwie można udawać, że to bluzka. Ale co ze

stanikiem? Nie pójdę na pogrzeb bez stanika, a w szufladzie jedyny, który pasuje pod tę koszulkę, jest malinowy. Malinowy stanik na pogrzeb matki to chyba jeszcze gorsze niż jego brak... Przydałby się czarny albo chociaż biały. Przetrzęsam szufladę. Nie ma. A kto zresztą będzie wiedział, że założyłam taką fikuśną bieliznę? Najważniejsze, że z wierzchu będę na czarno.

Rzucam stanik i majtki od kompletu na łóżko, obok kładę spodnie i koszulkę. Przynajmniej żadnej z tych rzeczy nie trzeba prasować. Piętnaście po dziewiątej, nie zdążę! Komórka.

— Adrian, jesteś jeszcze? Zabrałabym się z tobą — mówię bez wstępów, gdy tylko odbiera połączenie.

— Nie da rady. Jestem w galerii, baba przyjeżdża po serwis Tuppacka o wpół do, wiesz, ten ogromny.

— O Jezus — mówię. — Mogę się spóźnić. No to pa.

Zamawiam taksówkę na za piętnaście. Mam pół godziny.

Co jeszcze? Torebka! Jest! Okulary, wezmę te największe, nie będę się musiała specjalnie malować. Ale nie! Muszę się porządnie umalować, bo prosto z Bródna chciałam pojechać do firmy. No, wszystko... Buty! Wezmę szpilki, trudno.

Pędzę do łazienki i wskakuję pod prysznic. Najgorzej z włosami, nie zdążę się uczesać, a nie przyliżę ich gładko do tyłu, bo mi wtedy nos wychodzi jak u jamnika. Włączam suszarkę i jednocześnie szczoteczkę do zębów. Dziesięć minut!

SMS z korporacji przychodzi akurat, kiedy zapinam stanik. Pośpiesznie kończę się ubierać, łapię torebkę w biegu i zatraskuję drzwi. Za dziesięć dziesiątą wsiadam do taksówki. Całkiem niezły czas.

— Pod szpital, róg Kruczkowskiego i Czerwonego Krzyża — mówię, nawet nie przyglądając się kierowcy.

Stanowczo muszę sobie kupić samochód. Załatwię to jutro albo pojutrze — myślę, otwierając puderniczkę i wyjmując szminkę z torebki. Jakiś nieduży, srebrny. Ale dlaczego właściwie nieduży? Mogę sobie kupić duży. Nawet autobus, gdybym chciała. Nierówno mi oczy wyszły, ale poprawię po wszystkim.

Pod szpitalem wysiadam trzy po, właściwie wcale się nie spóźniłam. Gdzie Adrian? Nie widać go. Oczywiście się spóźni, on się zawsze spóźnia. Gdzie ja mam iść? Rozglądam się. Do szpitala od ulicy Kruczkowskiego są tylko jedne drzwi. Metalowe, pomalowane

brązową olejną farbą. Żadnego napisu. Naciskam klamkę, ale się nie otwierają. Boże, będę musiała lecieć dookoła! Nagle po drugiej stronie drzwi rozlega się szczeł zamka i w szczelinie pojawia się twarz kobiety z zakładu pogrzebowego.

– Dzień dobry – mówię.

– Wszystko gotowe – kobieta niby się uśmiecha, ale jej twarz pozostaje poważna.

Jak ona to robi? Lata praktyki.

– Ach, to świetnie – mówię. – Ja jeszcze na kogoś...

– Proszę – cofa się do wnętrza.

Gdzie ten Adrian? Oglądam się przez ramię na ulicę. Nie widać go. Trudno, najwyżej poczeka. Pewnie coś trzeba podpisać.

Wchodzę przez stalowe drzwi. To piwnica. Stoję na niewielkim podeście u szczytu betonowych schodów, kobieta patrzy na mnie z dołu.

– Może się pani teraz pożegnać z mamą – mówi.

Jak to pożegnać? Spoglądam w głąb pomieszczenia. Drewniane podesty, niektóre przykryte jakimiś kapami. A na nich trumny. Nie wiem ile, dziesięć, dwanaście. Niektóre są otwarte. Leżą w nich ludzie. Wytrzeszczam oczy i błyskawicznie oblizuję wargi.

– Ale ja nie... – zaczynam, jednak kobieta odwraca się i odchodzi za słup podpierający strop.

Powinno odwrócić się i wyjść. Stoję przez chwilę na galerii, wreszcie kładę rękę na chłodnej poręczy kamiennej balustrady. Mam do niej krzyzczeć, że nie mam ochoty? Głupio mi. Schodzę kilka stopni niżej, oblizuję wargi i spoglądam na trumny. Sami starcy. Najbliżej leży jakiś mężczyzna w szarym garniturze. Obok kobieta. Przetykam ślinę i schodzę na dół. Nie, to nie ona. To nie moja matka. Patrzę w bok. Też jakaś staruszka, dalej też. Nie wiem, która z nich to moja matka. Przechodzę między trumnami, starając się nie przyglądać zbyt uważnie zwłokom. Granatowa garsonka, granatowa garsonka. Mundur konduktorki. Nie widzę. Mam wrażenie, jakby głowa mi puchła, rozdymała się jak balon. Tu jej nie ma, tu też...

– Tutaj – kobieta odzywa się nagle za moimi plecami, podskakuje na dźwięk jej głosu.

Odwracam się – stoi obok słupa przy najniższym stopniu schodów, wskazuje ręką na jedną z trumien ustawionych pod niewielkim piwnicznym oknem. Podchodzę do niej i zaglądam do trumny.

To nie jest moja matka. Zapadnięte policzki, wystające skronie, kości, wąska kreska ust, prawie białe włosy. To przecież nie ona. Ale ma na sobie granatową garsonkę, a pod nią jasną bluzkę. Dłonie splecione na brzuchu wyglądają jak jakiś rekwizyt ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami. Jakby ulepiono je ze stearyny. Krótko przycięte paznokcie, żadnych ozdób. Wypuszczam oddech i na moment go wstrzymuję. Nie chcę wciągać tego powietrza. Nie nosem, mogłabym poczuć jakiś zapach, którego nie chcę czuć. Nie chcę też nabierać tego powietrza ustami, to tak jakbym je połykała. To powietrze dotyka trupów. Brakuje mi tchu, łapię więc jednak powietrze ustami. Robi mi się trochę niedobrze. To naprawdę ma być ona? Odwracam wzrok.

— Jest pani zadowolona? — pyta kobieta.

Spoglądam na nią z zachnięciem, jakby wymierzyła mi policzek.

— Słucham? — pytam niedowierzająco.

— Pytam, czy jest pani zadowolona z tego, jak przygotowaliśmy mamę?

Przygląda mi się z miną pełną wystudiowanego współczucia, zerkając na ścianę w głębi. Oglądam się — na ścianie wisi zegar. Dwanaście po dziesiątej.

— Tak — mówię. — Jestem zadowolona.

Odwracam się, ruszam schodami w górę i wychodzę na zalaną światłem ulicę.

— Nareszcie! — wykrzykuje Adrian. — Myślałem, że już pojechałaś. Dzwonię i dzwonię, a nie odbierasz!

— Nie słyszałam — odpowiadam, mrugając, oślepiona słońcem.

Wyjmuję okulary z torebki i zakładam je na nos.

— Wszystko załatwiłaś? — pyta. — Możemy jechać?

— Tak — odpowiadam i idę w stronę zaparkowanego przy krawężniku auta.

Adrian odblokowuje zamki, wsiadamy. Siedzenie parzy mnie w plecy.

— Jak się czujesz? — pyta, uruchamiając silnik.

Skreca w Czerwonego Krzyża, robi nawrotkę przed wejściem do szpitala, po chwili dojeżdżamy do Tamki.

— Dobrze — odpowiadam wreszcie. — Trochę mi gorąco.

Podkreca klimatyzację. Gdy wjeżdżamy na most Świętokrzyski, w aucie robi się przyjemnie chłodno. Wisła mieni się w słońcu daleko w dole. Niski stan.